

Wiatr zmian

5 grudnia 2012

Wszystkie znaki na polskim i europejskim niebie wskazują, iż początek przyszłego roku będzie niestety okresem dalszego spowolnienia gospodarczego. Ze wszystkimi tego konsekwencjami społecznymi w postaci wzrostu bezrobocia i spadku siły nabywczej przeciętnego portfela. Rząd roztacza przed nami obraz nadchodzącej tuż-tuż wichury, przy sile której moc sprawcza naszych wysiłków jest niewielka. Mimo to, niczym kolarz czujący za plecami groźne podmuchy trąby powietrznej, decydenci obiecują wytężyć wszystkie siły, aby polska gospodarka uniknęła wpadnięcia w ciemny wir.

Zacznijmy od dobrych wieści: w miejsce kończących się środków z europejskiej perspektywy finansowej uruchomione zostaną nowe mechanizmy stymulacji inwestycyjnej. Ich głównym elementem ma być spółka „Inwestycje Polskie”. Podczas prezentacji tego pomysłu minister Budzanowski stwierdził, iż „jedna złotówka będzie mieć siłę kilku złotych”, zaś wydatki państwa nie zwiększą się. Z grzeszną przyjemnością obserwowałem zdumienie komentatorów – przyzwyczajonych do dogmatu wyrzeczeń budżetowych i „braku pieniędzy” – na wieść o możliwości dokonania wielkich wydatków inwestycyjnych bez konieczności powiększania deficytu, dzięki magii dźwigni finansowej z użyciem państwowego Banku Gospodarstwa Krajowego.

Konfuzja komentatorów wynika najpewniej stąd, iż pieniądź jest mylnie rozumiany jako swego rodzaju „dobro”, ograniczony towar, co przyczynia się do (nie tylko polskiej) hiperwrażliwości na poziom długu publicznego. W istocie pieniądź i inne środki płatnicze, takie jak obligacje, są tylko instrumentem i jako instrument mogą być wykorzystywane do celów uznanych za ważne. Paradoksem jest, że ta sama zadłużeniowa psychoza zmusza rządy państw do wykorzystywania ich jako narzędzia do osiągnięcia dość mylnie zdefiniowanych celów – czyli zmniejszenia zadłużenia. Przykładem może być

niedawne przekazanie przez Bank Anglii 35 mld funtów do Skarbu Wielkiej Brytanii na rzecz zmniejszenia deficytu. Podobny cel miał w tym roku transfer 8 mld zł zysku NBP do polskiego budżetu.

Sama propozycja rządu nie jest idealna, zaś dokonanie początkowego wkładu na „rozmnożenie” poprzez prywatyzację, mimo zapewnień o sprzedaży tylko niewielkich pakietów akcji w spółkach niestrategicznych, budzi zastrzeżenia. Takie rozwiązanie zapewnia co prawda neutralny stosunek do pomysłu ze strony apostołów wycofywania państwa z gospodarki, technicznie jednak byłoby do uniknięcia. Nie tylko poprzez niesprzedawanie akcji, lecz użycie ich pod zastaw dźwigni finansowej, ale także poprzez wykup emisji papierów inwestycyjnych przez bank centralny, co do niedawna było uważane przez kapłanów ekonomicznej ortodoksji za herezję. Mimo tych niedoskonałości użycie BGK i spółki celowej zmniejszy zależność finansowania rozwoju od prywatnych instytucji finansowych i odciąży budżet.

Przełamanie tabu jest niezwykle ważne, gdyż to właśnie od zastosowania takich mechanizmów będzie zależało wyjście z ogólnoeuropejskiego kryzysu. Potrzebny jest mechanizm kredytowy, pozwalający zmienić – strukturalnie i jakościowo – zacofane gospodarki o złym bilansie handlowym. Jak to zrobić?

Zdrowy, prorozwojowy system kredytowy powinien zależeć nie od np. poziomu oszczędności, lecz od potrzeb pożyczkowych, określanych przez przewidywany długookresowy, dynamiczny potencjał rozwojowy kraju. Priorytetem jest zatem zapewnienie właśnie takiego finansowania. Oznacza to skupowanie przez odpowiednie organy – np. Europejski Bank Inwestycyjny, zasilony arbitralną emisją pieniądza przez Europejski Bank Centralny – za najniższy możliwy procent kilkudziesięcioletnich obligacji emitowanych przez przedsiębiorstwa państwowe i samorządowe, dedykowanych wykonaniu projektów transformujących gospodarkę (pisałem o tym więcej w „Nowym Obywatelu”).

Powołanie państwowej spółki wspierającej inwestycje przy wykorzystaniu Banku Gospodarstwa Krajowego i udzielanie kredytów „bez zysku”, co zapowiadają ministrowie, było rekomendacją marcowego raportu Polskiego Lobby Przemysłowego (można go pobrać tutaj), podobnie jak odpisy inwestycyjne i kredyty obrotowe. Dobrze się stało, że coraz mniej zostaje z dogmatu nieingerencji w procesy gospodarcze przez państwo. Stymulacja inwestycyjna powinna już w połowie roku spowodować ożywienie gospodarcze.

Niestety, póki co szansa może zostać wykorzystana tylko w małej części. Uciekając przed wichurą, rząd jedzie na monocyklu, zapominając o drugim kole, w średniej i długiej perspektywie równie ważnym jak impuls inwestycyjny. Konsolidacja fiskalna i „zwijanie państwa” na prowincji będą skutkowały wzmocnieniem tendencji kryzysowych. W krótkim okresie mniejsze wydatki z budżetu zmniejszą popyt krajowy. Przede wszystkim jednak cięcia są wyrazem niedoceny fundamentu dobrobytu gospodarczego, jakim jest kondycja ogólnospołeczna.

Przykładem pierwszym z brzegu są zagrożenia demograficzne. Brak perspektyw rozwoju młodego pokolenia, szczególnie dotkliwy w mniejszych miejscowościach, oznacza odkładanie decyzji o założeniu rodziny, co jeszcze wzmocnia tendencję spadku liczby ludności. Nie jest to jednak, wbrew częstym sposobom prezentacji tematu, wyłącznie matematyczny problem spod znaku obaw „kto będzie pracował na nasze emerytury?”.

Kluczowa rola ludzkiej kreatywności w procesie rozwoju gospodarczego sprawia, że spadek ludności oznacza nieproporcjonalnie większy spadek bogactwa i potencjału twórczego. Jak wykazał harwardzki ekonomista prof. Michael Kremer na podstawie badań relacji wzrostu populacji i zmian technologicznych w okresie od 1 miliona lat p.n.e. do roku 1990, duża liczba ludności wzmaga proces rozwoju. Co więcej, zauważa Kremer, „badania empiryczne wskazują, iż historycznie między społecznościami bez żadnej możliwości technologicznego

kontaktu te o większej początkowej liczbie ludności mają szybszą zmianę technologiczną i wzrost populacji". Innymi słowy to człowiek jest prawdziwym gospodarczym bogactwem – tym większym, im większej społeczności stanowi część. Dlatego też wydatki na człowieka powinny być priorytetem nie tylko społecznym, ale i ekonomicznym.

Niezwykle ważne w tym kontekście są wydatki na oświatę i kulturę, wciąż mylnie uważane za niezyskowe. Prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz stwierdził w ostatnim czasie, iż „nie jest tajemnicą silna korelacja między kulturą a innowacyjnością”. Wydaje się jednak, że do niedawna było wprost przeciwnie – włodarze państwa i wielu miast nie rozumieli tej zależności. Chyba możemy zatem mówić o procesie dorastania polskich elit.

Środowisko dawnych „gdańskich liberałów” zaczyna rozumieć potrzebę – przynajmniej szczątkowej – aktywnej polityki państwa, zaś jeden z nich, szef wolnorynkowego think-tanku, w zdumiewająco trafny sposób pisze o społecznych zagrożeniach wynikających z kultury egoizmu, o potrzebie gospodarczej podmiotowości i nawołuje do „wielkiego przewartościowania” w oparciu o kulturę. Nie mamy już w tej perspektywie apologii dzikiej, zielonej wyspy, na której zaradni Robinsonowie podporządkowują się siłom natury. Rynek i konkurencyjność nie są już doktryną, lecz lekko zarysowanym jednym z instrumentów społeczeństwa.

A zatem coś się powoli kończy. Jeżeli nie prymat oligarchicznego, antycywilizacyjnego prądu zmian społeczno-gospodarczych, to na pewno dominacja ideologicznego fundamentu, na którym tenże prymat rozkwitnął. Chociaż wytarte slogany leseferyzmu tracą swój urok, to wciąż siłą inercji i egoizmu mają wielki wpływ na wektor zmian w naszym kraju. Nie wolno tego dłużej akceptować. Skoro diagnoza była błędna, pora odstawić leki.

Autor: Krzysztof Mroczkowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)